

# NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 3

Katowice, 24-go stycznia

1932

## Na niedzielę trzecią po Trzech Królach.

### Ewangelja

zapisana u św. Mateusza w rozdz. 8, w 1—13.

W on czas: gdy Jezus zstępował z góry, szły za Nim mnogie rzesze. A oto zbliżył się trędowaty, i oddał Mu pokłon, mówiąc: Panie, jeśli chcesz, możesz mnie oczyścić. I wyciągnawszy rękę, dotknął się go Jezus, mówiąc: Chce, bądź oczyszczony! I natychmiast uleczył go z trądu. Rzekł mu nadto Jezus: Uważaj, byś nikomu nie mówił; lecz idź, okaż się kapłanowi, i złóż ofiarę, jaką przepisał Mojżesz (Lew. 16, 2—32), dla ich świadectwa.

A gdy wchodził do Kafarnaum, przystąpił doń setnik i począł Go prosić, mówiąc: Panie! Sługa moj leży w domu porażony i bardzo cierpi. Odpowiadając zaś setnik rzekł: Panie, nie jestem godzien, byś wszedł pod dach mój; ale rzeknij tylko słowo, a wyzdrowieje sługa mój. Boć i ja, człowiek podległy władzy, mam żołnierzy pod sobą; i gdy powiem temu: „idź” — to idzie; a tamtemu „pójdź” — to przychodzi, a słudze memu: „czyń to” — to czyni. Słyszając to, Jezus zdziwił się i rzekł do otoczenia swego: Zaprawdę, powiadam wam, tak wielkiej wiary nie znalazłem w Izraelu. Toteż powiadam wam, że wielu przyjdzie od wschodu i od zachodu, i zasiądą z Abrahamem, Izaakiem i Jakóblem w królestwie niebieskiem; a synowie królestwa wyrzuceni będą precz do ciemności; tam będzie płacz i zgrzytanie zębów. A do setnika rzekł Jezus: Idź! — i jakoś uwierzył, niech ci się stanie! — I w tejże godzinie sługa ozdrowiał.

### Nauka.

Wysłuchuje Pan Jezus niezwłocznie prośbę trędowatego i setnika pogańskiego! Czyni to, bo widzi

u jednego z drugiego wielką pokorę, ufność i wiarę! Takiej wiary, ufności i pokory nie spotkał Zbawiciel u ziomeków Swoich. I dlatego pogażina stawia za wzór tym, którzy chełpili się być wybranymi synami Boga. Wypowiada zarazem złowrogą groźbę: Wielu takich jak ów setnik pogański, będzie zbawionych, „a wy synowie Królestwa będziecie wyrzuceni w ciemności zewnętrzne, gdzie płacz i zgrzytanie zębów!”

Słowa Zbawiciela odnoszą się także od nas! Wielu niechrześcijan żyje uczciwiej i doskonalej od nas. Wielu niekatolików lepiej służy Bogu, niż liczni katolicy, mający takie skarby miłości Boga wśród siebie, o jakich niekatolicy marzyć nie mogą! Mamy przecież u siebie, w świątyniach swoich samego Boga-Zbawiciela! Czyż nie przerazi nas groźba Chrystusa?

A więc mniej jeszcze będziemy zasługiwali na usprawiedliwienie, niżli Żydzi. Czyż nie powinno nas to zastanowić, że Kościół św. właśnie słowami setnika z dzisiejszej ewangelji św. poprzedza każde udzielenie Komunii św. Jest Bóg-Zbawiciel wśród nas, zstępując codziennie w tajemniczej, Boskiej, bezkrwawej Ofierze Mszy św., na ołtarze nasze! Zamknięty, ukryty, niżony, czeka na nas w każdej świątyni! — Czy zbliżamy się doń z taką ufnością, pokorą i wiarą, jak setnik i trędowaty w dzisiejszej ewangelji? dybyż były takie uczucia w duszach naszych w chwili przyjmowania Boga w Sakramencie Ołtarza, większy byśmy odnosili skutek z częstych naszych Komunii św., wysłuchiwałyby niechybnie Zbawiciel, wchodzący do serc naszych, nasze prośby, łatwiej i radośniej płynęłyby nam dni twardej naszej pielgrzymki życiowej! Pośtanówmy więc, że odtąd pobożniejsze będzie nasze przygotowanie się do Sakramentów św., a przedewszystkiem, że każdą naszą Komunię św. poprzedzą szczerze akty wiary, nadziei, skruchy i miłości. Amen.

## Plaga zabaw karnawałowych w soboty.

Było to jeszcze przed rozbiorami naszej Ojczyzny za panowania królów Sasów. W Polsce przy dworze królewskim bawił poseł turecki. Po powrocie do swego kraju takie opowiadał rzeczy o Polakach: „Dziwny to doprawdy ten naród polski. Co rok w pewnym okresie wpada on w jakiś szal, bawi się i kręci dookoła po całych nocach, jakby dostał szaleństwa. Dopiero gdy w jakąś uroczystość w kościołach (w dzień popielowy) kapłani posypią mu głowy jakimś proszkiem, wraca on do przytomności i przestaje szaleć“!!!

Tak bawiono się w Polsce za Sasów. Tańczono i przetańczono wolność. Nic dziwnego, że poseł turecki nie mógł zrozumieć tego czału i uważał Polaków za szaleńców. 150 lat musieliśmy pokutować za to szaleństwo.

Ale czyśmy zmadrzeli po odzyskaniu wolności i Ojczyzny? Bynajmniej. Dziś w Polsce kryzys niesłychany, tysiące ludzi chodzi bez pracy, bez kawałka chleba, bieda i nędza zagląda do każdego nieomal domu. A tymczasem idźmy tylko do naszych miast, miasteczek, a nawet na wioski i przypatrzmy się, co się tam podczas karnawału dzieje? Niema soboty, żeby nie urządzano balów i zabaw tanecznych. Tańczą urzędnicy, kolejarze, kupcy, nauczyciele, młodzież szkolna, różni Sokoli, Strzelcy, rzeźnicy, stróże i kucharki. Każdy stan, każdy zawód musi mieć swój bal!

W jednym miasteczku, liczącem zaledwie 10 tysięcy mieszkańców, a w tem 80 procent żydów (w Królestwie) w roku ubiegłym w karnawale było aż 16 balów! Że ludziska chcą się troszkę zabawić!

rozweselić w tych smutnych czasach, niema w tem nic naganego, ale kiedyż to te zabawy i tańce są urządzone? Oto przeważnie w soboty wieczorami. Bawią się wszyscy całą noc, a potem śpią cały dzień, o wysłuchaniu zaś Mszy św. w niedzielę żaden z balujących nawet nie pomyśli. I czy to jest po katolicku?

Czy takie zabawy nie ściągną na nas jeszcze większej biedy i nędzy?

Przecież Pan Bóg nie może błogosławić narodowi, który tak sobie lekceważy dni świąteczne i słuchanie Mszy św., który to obowiązek jest jednym z najważniejszych obowiązków katolika! Warto się nad tem zastanowić!

Czy takiej zabawy nie możnaby urządzić w nie-

dziele wieczorem po wysłuchaniu w kościele nabożeństwa? „Ależ ja muszę w poniedziałek iść do biura, tłumaczy się urzędnik, a ja muszę iść do pracy, wymawia się rzemieślnik, bo gdybym nie poszedł, to mnie wyrzucą, pozabawia pracy“! Ale gdy niejeden po przetańczonej nocy w sobotę nie pójdzie na Mszę św., nic sobie z tego nie robi! A przecież tu sprawa z Panem Bogiem. On może nam przez to odebrać nie tylko pracę, posadę, ale i zdrowie, a po śmierci może nas nie puścić do nieba, bo opuszczenie Mszy św. w niedzielę jest grzechem śmiertelnym. Z tem się musimy liczyć! Niechże się nad tem zastanowią ci wszyscy, którzy co rok urządzają zabawy taneczne w soboty wieczorami. Obyśmy nie przetańczyli na nowo ukochan. Ojczyzny i Nieba!

## Patron prasy

Św. Franciszek Salezy — 29 stycznia.

„Naprózno byśmy budowali najwspanialsze kościoły, organizowali organizacje, fundowali im sztandary, urządzali kongresy, obchody i pochody; próżne byłyby wszelakie fundacje czy demonstracje, jeżeli nie będziemy mieli żywej, praktycznej, zajmującej prasy! Na marne pójdą wszelkie nasze wysiłki, jeżeli nie będzie u nas pism, które wszyscy będą czytali i których treścią wszyscy będą się przejmowali...“

W te mniej więcej słowa przemawiają papież czasów ostatnich. Pius X oddawał wszystkie kosztowności, byleby mieć dobre pisma. Św. Paweł apostoł, gdyby żył teraz — wydawałby z pewnością gazetę.

Bo przez każdy numer gazety, mającej wzięcie, człowiek przemawia odrazu do niezmiernej ilości ludzi jednocześnie po wszystkich parafjach i diecezjach całego kraju. Jeżeli mu umysł i serce, rozumiejące i odczuwające życiowe troski milionów, a ma praktyczny zmysł życiowy: pomyślmę, ile dobra taki człowiek zrobić może, jeżeli ma dla słowa swego słuchaczy, co są nie słuchaczami tylko, ale wsłuchawszy się i wmyśliwszy w słowa jego, przestacza w czyn sens myśli jego.

Kto umie czytać, dowiedzieć się może o wszystkim. Kto umie czytać, to tak, jakby widział o setki i tysiące mil. A kto czytać nie umie, czy ze swej umiejętności korzystać nie chce, pozostaje wiecz-

nym umysłowym kaleką. Słaba prasa i słabe czytelnictwo bodaj czy nie jest najcięższym, najgubniejszym kalectwem naszego narodu!

Słowa pustodźwięczne są jak puste plewy. Siew wyborowy, padłszy na rolę wdzięczną, rozradza się w plon bezmierny. Kto szerzy dobre druki — jest siewcą dobra: rozbudowuje istotny Kościół Chrystusowy. **Kto pilnie choćby do abonowania pisma dobrego zachęca**, ten buduje Kościół z Ducha, ten może uczynić więcej, niż gdyby fundował choćby najwspanialsze kościoły ze szczerego złota, jeśli w nich ludzie ducha nie czerpią!

Tak pojmowana jest po katolicku wysoka godność prasy!

Pismo oczywiście wtedy tylko pełni swą powinność, jeżeli służy sprawie rzetelnie i apostołuje równe postępowanie w życiu prywatnym jak społecznym i w polityce. Bieda tym, co słów używają na jakieś wykrety, lub próżne gadanie i nie dają sprawdzianu w czynie!

Patronem prasy ogłoszony jest św. Franciszek Salezy. On ma być uosobieniem tego słowa, co świat ożywi. A godłem jego jest: „Fortiter in re — suaviter in modo“: mocno w treści — miłe w ujęciu!

Po chrystusowemu!

## Szlachetny nieprzyjaciel.

(Zdarzenie prawdziwe).

— No! porzućcież nakoniec wasz upór, mój Mateuszu, i chodźcie zabawić się z nami, bez obrazy Boskiej, tak mówił Jan Radliński, zamożny mieszczanin jednego z naszych miasteczek, do swego sąsiada i przyjaciela, z zachmurzoną i niezwyčajnie zagniewaną twarzą siedzącego na ławce przed swoim domem.

— Nie męczylibyście mnie próżno, mój Janie, bo wiecie, że nie pójdę, odparł gniewnie Mateusz.

— Jak to, nie pójdiesz zabawić się z przyjaciółmi, na weselu tak bliskiej krewniczki? — przerwał obrażony Radliński. — Tego to już za nadto, a przecież nie ma to Pan Bóg człowieka stworzył, aby żył sobie odludkiem i według swego

widzimi się. Powinniśmy być w zgodzie i jedności, smutek czy radość z sobą dzielić, więc dla czegoż ty jeden wylaczać się chcesz od skromnej naszej zabawy, na której nie będzie żadnych zbytków — potrzebną zaś jest, bo to tak ważna rzecz, pójdźcie za mąż dobrej i bliskiej naszej krewnej.

— Nie trzeba wam było prosić Kruczka, kiedy wam tak bardzo chodziło o to, żebym był na tej zabawie.

— Jeżeli tak zawzięty jesteś, toć przecie nie potrzebujesz z nim mówić, a możesz nawet i nie patrzeć na niego — tłumaczył Jan z powagą.

— Dostyc tego, dostyc raz na zawsze, krzyknął Mateusz, zrywając się z ławki — wiecie dobrze,

że na samo wspomnienie, a tem bardziej na spotkanie tego niegodziwca, — wszystka krew ścina się w moich żyłach, a reka mimowolnie w kulak się ściska, — wiecie, że od czasu jak wpędził do grobu mojego ojca, nieprawem przywłaszczeniem łąki, co Bóg wie odkąd z dziada, pradziada, zawsze liczyła się do naszych gruntów, poprzysięgłem mu wieczną nienawiść, która chyba w grobie się skończy.

Z wielkim gniewem, z mocnem wzruszeniem, lecz zarazem z ciężkim żalem i powagą, Mateusz to wypowiedziawszy, wszedł do sieni, skinieniem głowy zaledwie pożegnał Jana z łoskotem drzwi za sobą zatrzasnął.

Cichy i łagodny Radliński, znając dobrze upór swego przyjaciela, osądził, iż daremnieby było dłużej Mateusza przekonwać, więc ruszywszy tylko ramionami, wolnym krokiem oddalił się z miejsca. Nie pierwszy to już raz zdarzyło się, że Mateusz przez nienawiść do Kruczka, wyrzec się musiał towarzystwa, sąsiadów, przyjaciół, krewnych nawet i upragnionej z nimi rozrywki, albowiem Kruczek, mimo nadzwyczajnej chciwości i skąpstwa, wielkiego poważania używał w całym mieście, gdzie jego zamożność wszystkim była znana, jego zaś przeciwnik młody, i niezmiernie popędliwy Mateusz, jakkolwiek wszystkim z poczciwości, pracowitości i trzeźwości znany, mała bardzo liczył przyjaciół, z powodu gwałtowności swego charakteru, która już niejednemu dała się we znaki.

W parę miesięcy po owem weselu, Mateusz wybrał się w pole, chcąc przy dniu świątecznym obejrzyć bujnie wznoszące się zboża, kiedy w tem rzuciwszy okiem na przyległe zagony kartofli, spostrzegł trzy potężne wieprzaki, w najlepsze ryjące młode korzenie, których łodygi pozbawione liścia i kwiatu, walały się pod nogami owych wieprzaków, nierozumiejących jaką szkodę czynią. Krew zakipiała w naszym mieszczaninie, schwycił spory kamień, leżący na miedzy i tak silnie ugodził nim jedno z łakomych zwierząt, że z głośnym kwikiem potoczyło się na ziemię. W tej samej chwili ozwał się płaczliwy głos młodego pastuszka, co właśnie onkawszy się ze snu, nadbiegł w to samo miejsce.

— Czyżes ty hultaju? — zawołał groźnie Mateusz do płaczącego chłopięcia.

— A od pana Kruczka — odrzekł płacząc chłopczyna.

— Kiedy tak, — odpowiedział mieszczanin — to idź i powiedz swojemu panu, że ma tu na mojem polu pieczeń, żeby ją sobie zabrał póki ciepła, bo niedługo, to kruki i wrony gotowe go tu wyręczyć.

Pastuszek płacząc, pospieszył ku domowi, a Mateusz ochłonawszy z pierwszego gniewu, sam począł wyrzucać sobie zbyteczną popędliwość, i chętnie byłby się wyrzekł całego zbioru kartofli, gdyby tylko mógł cofnąć lub naprawić, co w gniewie i zapalczywości zrobił i powiedział. Ale co się raz stało, to się już odstać nie może. Kruczek dowiedziawszy się o poniesionej stracie, podobnież zapalił się gniewem, i postanowił się pomścić. Jakoż zapozwał Mateusza do sądu, i w krótkim czasie uzyskał wyrok, skazujący Mateusza na wynagrodzenie zrzędzonej szkody, bo prawa nie pozwalają dopuszczać do takiej samowolności, aby w jakikolwiek bądź sposób wolno było cudzą własnością rozporządzać się, tembardziej nie wolno kaleczyć lub zabijać cudze zwierzęta; więc słusznie też sąd zawyrokował, skazując Mateusza na zapłacenie za wieprzka zabitego. Ale kara takowa zapaliła na

nowo stłumioną już nieco w nim nienawiść, i do tego stopnia uczyniła mu nieznośnym pobyt w rodzinem mieście, że spieniężywszy całą ojcowiznę, umyślił stanowczo wynieść się stamtąd na zawsze. Z właściwą sobie żywością przystąpił wkrótce do wykonywania zamiaru, a lubo krewni i przyjaciele, najusilniej mu odradzali, chociaż i sam niewypowiedziany smutek, na myśl opuszczenia strzechy, pod którą się urodził, wzrósł i wychował, uparcie obstawał przy swoim. Nowy właściciel objął już grunta i domek Mateusza, dozwolewszy mu pozostać tam jeszcze parę dni, aż do chwili wyjazdu. Czas ten lotem błyskawicy przeleciał, i już tylko jedną noc Mateusz miał przepędzić pod ojcystym dachem. Dopiero teraz czuł, co to jest opuszczać swe rodzinne miejsce.

Gnębiony tak boleśnie, wcześniej udał się na spoczynek, lecz dziwna niespokojność miotła całą jego istotą.

Zasnął wprawdzie na chwilę, ale i we śnie nie znalazł ulgi, nie mogąc zatem dłużej wytrzymać, porwał się z posłania, i nie budząc nikogo, wyszedł z mieszkania.

Jakież było jego przerażenie, gdy rzuciwszy wzrokiem przed siebie, ujrzał wśród ciemności nocnych jaskrawy słup płomieni, przedzierający się przez gęste kłęby czarnego dymu. W jednej chwili stanął on w zagrożonem miejscu i znalazł się wśród gromadki znanych mu mieszkańców miasteczka, na próżno usiłując ugasić szerzącą się pożogę. Ogień z przerażającą szybkością przenosił się na wszystkie strony. Gwałtowny wichur utrudniał ratunek, a krzyki przerażenia i rozpacz, wkrótce napełniły całe przed chwilą uśpione miasto. Trudno opisać ten zapał, z jakim Mateusz, pomimo niebezpieczeństwa biegał i rzucał się na wszystkie strony, ocalając co się tylko dało z płomieni.

— Jak to? — zawołał Jan Radliński, spostrzegłszy go wpadającego wśród płonących belek do domu Kruczka, — cóż to ja widzę, ratujesz dom swego nieprzyjaciela?

— Gdzie idzie o całość miasta, nie znam nieprzyjaciół, bo wobec wspólnego niebezpieczeństwa, braćmi tylko jesteśmy! — odparł żywo szlachetny Mateusz, i zniknął poza obłokiem dymu.

Ale niestety, tu właśnie srogi los położył koniec jego szlachetnym usiłowaniom, w chwili bowiem, gdy wynosił najmłodszego z synów Kruczka, w samym progu, spada na niego pałaca się belka, płomieniem i ciężarem powala go o ziemię, mocno rani, tak, że prawie bez życia na rękach kilku znajomych uniesiony został. W miesiąc potem wyleczony Mateusz opuścił szpital, nie porzucił jednak rodzinnego miasteczka, gdyż otrzymawszy znaczny zasiłek ze składek, zajął się budowaniem nowego domu, do czego mu znacznie dopomógł Kruczek, a zwyciężony szlachetnością swego nieprzyjaciela, chętnie ofiarował mu połowę ocalonego majątku.

Mateusz chętnie przyjmując zasiłek składkowy, długo się opierał z przyjęciem pomocy od Kruczka. Mocno go to obrażało, bo tym sposobem byłaby to zapłata za to, że dzieci i dom jego od ognia ratował, a on robił to tylko, co jako bliźni i sąsiad z obowiązku czynić był powinien. Lecz gdy Kruczek za pośrednictwem sąsiadów, mianowicie: Jana Radlińskiego i księdza proboszcza z Mateuszem się przeprosił i pojednał, — a następnie wstłomaczył, że pragnie mu zwrócić tylko to, czem nieboszczyka ojca i jego samego mógł istotnie ukrzwdzić. —

Mateusz rękę Kruczka uściśnął, ofiarowaną pomoc przyjął, postanawiając na nikogo więcej nie gniewać się, a tem więcej od uporu i zawziętości powstrzymać się.

Nawzajem Kruczek wyrzekając się uroczyście chciwości i skąpstwa, podziwiał szlachetność Mateusza, który iakkolwiek tak zawziętym był jego nieprzyjacielem, a jednak dzieci i majątek mu ocalił.

## Pieniądze bez pracy.

Pogodny dzionek leni znacznie się już pochylił ku wieczorowi, w powietrzu rozległ się srebrzysty, głos kościelnej sygnaturki, wzywający pobożny lud wiejski na mieszpory, a stara Pliszkowa, zająca i pracowita niewiasta, żona jednego z zamożniejszych włościń Borowej, wybiegła przed próg swojej chałupy i niespokojnie oglądając się dokoła, zawołała głośno:

— Małgorzato! Małgorzato! — nikt jednak nie odpowiedział na to wołanie; wtedy poczciwa gospośka uchyliła wrota wiodące do sadu i raz jeszcze krzyknęła z niecierpliwością: — Małgorzato!

— A cóż tam chcecie gospodym? — odrzekła w teże chwili, dźwigając niechętnie głowę, młoda dziewczyna, która w najlepsze wyciągała członki na trawie w ciemiu ogromnej gruszy.

— Czemu nie idziesz do kościoła. — przemówiła Pliszkowa. — dzwonią właśnie na mieszpór.

— Albo to mam w czym iść między ludzi, odmruknęła dziewczka, wiecie przecież że nie mam chustki.

— A to czemuś mi nie dała jakem jechała na jarmark do Grotkowic, toć wiem, że masz pieniądze.

— Mnie tam nie pilno, gospodyni, pomodłę się w domu, a im później kupię, tem dłużej będę nosić.

— Aleć to grzech dziewczyno, toćże już od czterech niedziel noga twoja nie powstała w kościele, a wszakże znasz, co mówią ludzie: „Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie“.

— To pomódlcie się za mnie, a ja sobie jeszcze trochę wypocznę.

To powiedziawszy Małgorzata ziewnęła z całej siły i znowu położyła się pod drzewem. Pliszkowa zaś nie czekając dłużej, wyszła z sadu i z książką grubą do nabożeństwa ku kościołowi.

— Jacy to mądry ludzie, — prawiła sama do siebie leniwa dziewczka, — jak w powszedni dzień, to już od świtu wołają: Małgorzato! wydój krowy. Małgorzato, oporządź trzodę! Małgorzato, ruszaj w pole! a jak przyjdzie święto, to nawet człowiekowi odpocząć nie dadzą; ale cóż począć, kiedy to nigdzie darmo jeść nie dadzą, ani nie zapłacą.

— Gadaj tam Małgoś, gadaj, — ozwał się w tej chwili głos Franka Płużycy, dworskiego parobka, który właśnie przechodził koło sadu, sącno i pieniądze, co za nimi nie trzeba się uganiać w krwawej pracy.

— Ale, — odrzekła, śmiejąc się dziewczyna, — to chyba gdzie trzeba ukraść, a tego znowubym nie umiała.

— I jaby nie umiał, — prawił dalej Franek, — ale posłuchaj mnie tylko, a powiem ci, jak to można mieć dużo a dużo pieniędzy bez żadnego mozołu.

(Dokończenie nastąpi).

## Falszywy przyjaciel.

Nie każdy, kto się do nas zbliża z uprzejmą twarzą i pochlebnem słówkiem, jest naszym przyjacielem. Często, jak wilk pod baranią skórą, ukry-

wa się wróg pod pozorami przyjaźni, aby nas podejść i zgubić tem łatwiej. Do takich fałszywych przyjaciół należy też wódka.

Wraca Maciej Sroka z jarmarku do domu. Idzie piechotą, bo furmanki jak na złość nie było. Do chałupy trzy mile jak obszył, a tu mróz siarczysty, w polu zasypany śniegiem. Mija karcznię w Lubońcu, aż tu głos jakiś szepce mu do ucha: wstąp na półkwaterek, zagrzejesz się. — Usłużny karczmarz stawia jeden i drugi. — Maćkowi aż w oczach pojaśniało. Idzie dalej, ale miłe ciepło w członkach jakoś szybko znika, czuje tem dotkliwszy chłód, senność, odrętwienie. Trzeba krzyknąć przysięgę — myśli sobie Maciek. Pamiętacie tę Bożą Mękę pod lubonieckim lasem? Tam go znaleziono nieżywego. Zasnął i zamarł na śniegu, a rodzina krzyż postawiła.

\* \* \*

„Cosik mnie mgli na wnętrzu, może to soliter“ — stęka krawiec pochylony nad swoją robotą — „idźno Antek do Fajnera po flaszkę mocnej, bo mówiła Kmiecikowa, że nawet w aptece nic lepszego nie znajdzie na takie boleści!“ — I myśli biedny człeczyna, że w wódce znajdzie lekarstwo, jednakże „mocna“ nietylko nie leczy, ale psuje do reszty nadwątlony żołądek i pali schorzałe wnętrzości. Po paru miesiącach takiego leczyeria już nawet doktor nie potrzebny, jeno ksiądz a grabarz

## Iskierki.

Młodziutki ksiądz, prosił swego nauczyciela: „Proszę, niech mi pan opowie co o śmierci“.

„Co za miedorzeczność“, odparł nauczyciel. „Jesteś za młody na to, aby myśleć o śmierci. Wybierz sobie takie myśli z głów“.

Chłopczyk narazie zamilkł.

W dwa czy trzy dni jednak potem podczas przechadzki zwrócił uwagę nauczyciela na cmentarz, obok którego przechodzili. „Tyle tu grobów, rzekł, wiele mniejszych niż ja. Ci, co w nich leżą, muszą być młodszy ode mnie. Więc dlaczego Pan nie chce ze mną mówić o śmierci?“

Czy uwaga dziecka nie była całkiem słuszną? Cmentarze przecież usiane są istotnie maleńkimi mogiłkami!

Dlaczego tedy odsuwamy od dzieci myśl o śmierci, jakby coś zdrożnego a w każdym razie przedwczesnego?

Dlaczego?

Dziecko nie boi się śmierci.

Babcia „poszła do Bozi“. To i cóż? Bozia jest dobry, kochany i w niebie jest ślicznie. Mamusia to samo mówiła, więc czego się bać?

Dziecko rozumuje logicznie na podstawie naszych własnych nauk. Nie maćmy tego szczytnego a w swej dziecinnej prostocie najtrafniejszego pojęcia.

Dziecko nie boi się śmierci. Nie wszczepiajmyż mu nieroztropnie naszych własnych obaw i trwóg.